

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Janina Paradowska
Jak PiS gra na Dudach
- 13 Jacek Żakowski
Kogo reprezentuje rząd
- 16 Marek Ostrowski
Polityka zwodzonych mostów

SPOŁECZEŃSTWO

- 20 Ewa Wilk
Zawiść – nasza wada narodowa
- 23 Elżbieta Turlej
Justyna Kowalczyk zaczyna nowe życie
- 26 Violetta Krasnowska
Kłaskanie za lądowanie
- 29 Barbara Kaczmarczyk
Polskie kino dokumentalne: kamera blisko człowieka
- 32 Piotr Pytlakowski
Temida z koparką w tle
- 34 Edyta Gietka
Jak walentynki zamieniły się w koszmar

RYNEK

- 36 Joanna Solska
Upadłość konsumencka – chwiejna deska ratunku
- 40 Adam Grzeszak
Co dobre dla księgarzy, a co dla czytelników

ŚWIAT

- 44 Łukasz Wójcik
USA-IZRAEL Związek specjalnej troski
- 48 Rozmowa z **Martą Studenną-Skrukwą** o źródłach lojalności i nielojalności mieszkańców Donbasu
- 51 Tomasz Walat
FINLANDIA Premier Stubb, czołowy anty-Grek Europy

HISTORIA

- 54 **Fragment wstrząsającego pamiętnika Romana Fristera**
- 58 Tomasz Wołek
POLEMIKA Żywoty przeciwległe Kaczyńskiego i Dmowskiego



10 Dudów dwóch



23 Królowa śniegu schodzi w doliny



26 Groźny tłok na polskim niebie



62 Mity o glutenie

NAUKA

- 62 Marcin Rotkiewicz
Dochodowa dieta bezglutenowa
- 65 Ewa Wilk
Jak zreformować zawodówki
- 68 Paweł Walewski
Choroby zakaźne: nadal problem

KULTURA

- 74 **Krytycy filmowi POLITYKI o tym, kto powinien dostać Oscara**
- 78 Rozmowa z zespołem **Kwadrofonik**, laureatem Paszportu POLITYKI w dziedzinie muzyki poważnej
- 80 **KAWIARNIA LITERACKA Małgorzata Rejmer**
- 82 Marcin Pieśczyk
„Mamma Mia!” na scenach światowych i w Warszawie

LUDZIE I STYLE

- 86 Joanna Tracewicz
Zawód: youtuber
- 89 Piotr Adamczewski
ZA STOŁEM Mleko prosto od kozy
- 90 Marcin Piątek
Jak zarabia skoczek
- 92 Zdzisław Pietrasik
Berlinale: kino ma ciało i duszę

NA WŁASNE
OCZY

- 100 Wojciech Markiewicz,
fotografie Stanisław Ciok
Flyspot – szkoła supermenów

STAŁE
RUBRYKI

- 4 Mleczko
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz
- 94 Passent
- 95 Tym
- 96 Hartman
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



GALEŃ ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

www.mleczko.pl

z życia sfer

Słowowstręt

felieton

Nonkonformizm stał się u nas już tak modny, że 19 mln Polaków nie przeczytało w 2014 r. ani jednej książki, twardo przeciwstawiając się narzucanej przez establishment ideologii, w myśl której nieczytanie miałoby prowadzić do czegoś w rodzaju upośledzenia społecznego. Im to niestraszne. Jak poinformowali właśnie badacze z Biblioteki Narodowej, mamy aż 10 mln antysystemowców, którzy by nie dać się złamać propagandzie czytania, na wszelki wypadek nie mają w domu żadnej książki. Trudno w to uwierzyć, ale jako ludzie odcytani nie takie rzeczy potrafimy sobie wyobrazić.

Są jednak jeszcze twardsi buntownicy – ci nie brudzą sobie rąk i nie zaprzatają umysłów słowem drukowanym nawet pod postacią prasy. Możemy być dumni – takich maksymalistów mamy ok. 6,2 mln. Tacy to pewnie nie czytają także ulotek dołączanych do leków, żeby nie dać się omdać słowu pisanemu.

Ale nie oszukujmy się, nie wystarczy czytać, żeby mówić do rzeczy. Niektórym młodzieńcze lektury wyraźnie nawet zaszkodziły. Szef SLD Leszek Miller zapewniał ostatnio w telewizji, że zajęcie przez Rosję Krymu to nic takiego, bo to przecież niewielki skrawek Ukrainy. To ciekawy, można rzec, nonkonformistyczny argument. Uwzględniając proporcje krajów, to tak jakby Rosja zajęła nasze województwo małopolskie (1/20 powierzchni Polski). Nie ma się co emocjonować?

Wstręt do słowa emocje zdaje się mieć także Adam Jarubas, kandydat PSL na prezydenta, on z kolei przekonuje: „potrzebna jest zdroworozsądkowa polityka wschodnia, daleka od emocji, zbyt wielu uprzedzeń”. Czytaj (jeśli umiesz): niech tam

się zabijają, my musimy się dogadać z Rosją, bo w wyniku dotychczasowej polityki proukraińskiej „odnotowaliśmy ogromne straty gospodarcze. I nie chodzi tylko o rolnictwo”. To kolejny powołujący się na zdrowy rozsądek polityk, który wprawdzie bardzo emocjonuje się związkami partnerskimi i genderem (tu nie ma „zbyt wielu uprzedzeń”), ale wzywa do unikania emocji, gdy u sąsiada realnie giną ludzie.

Mamy zatem w roku wyborczym interesującą sytuację: ludzie, którzy nie czytają nawet gazet i jeśli coś wiedzą o świecie, to tylko w wersji grającej na emocjach telewizji, mają wybierać na swoich przedstawicieli osoby, które wprawdzie czytają (choćby o sobie), ale za to nie rozumieją, co publicznie mówią. Czekają nas ciekawe czasy: gdy nonkonformiści wybiorą antysystemowców, powstanie Rzeczpospolita.

Uwzględniając proporcje Polski do Ukrainy, to tak jakby Rosja zajęła nasze województwo małopolskie. Nie ma się co emocjonować?

REDAKTOR ZASTĘPCZY JK

Nowe Porozumienie Jastrzębskie



Adam Grzeszak

Na bohatera strajku w Jastrzębskiej Spółce Węglowej wyrasta Jarosław Zagórowski, były już prezes JSW. Górniczych liderów, którzy rozpoczęli protest, skłonił do zaakceptowania programu zaciskania pasa. W trakcie wielodniowych nerwowych negocjacji związkowcy przyjęli do wiadomości, że sytuacja spółki jest trudna, a koniunktura na rynku węglowym niekorzystna. Warunkiem przetrwania jest rezygnacja z części przywilejów oraz zwiększenie wydajności i efektywności pracy. Wyrazili gotowość przyjęcia dwóch głównych postulatów, o które Zagórowski walczył od dawna: przejścia na 6-dniowy tydzień pracy kopalń (przy zachowaniu 5-dniowego tygodnia pracy górników) oraz uzależnienia wysokości 14 pensji od zysków osiąganych przez spółkę. Jeszcze kilka tygodni temu nawet słyszeć o tym nie chcieli, bo to naruszało

zapisy słynnego Porozumienia Jastrzębskiego z 1980 r.

Zagórowski sam nie uczestniczył w negocjacjach, bo związkowcy nie mogli na niego patrzeć ani z nim rozmawiać, tak ich irytował. Jego odwołanie stało się najważniejszym postulatem strajkowym. Mimo to pozostawał głównym aktorem wydarzeń. Na pracowniczy protest odpowiedział własnym: zarząd JSW wystąpił do sądu przeciw związkowym liderom o działanie na szkodę spółki. Sąd potwierdził, że strajk był nielegalny i przyniósł spółce szkody. Zobaczmy, czy następca Zagórowskiego spróbuje wyegzekwować odszkodowanie. Prezes wytrzymał presję i swoim uporem doprowadził do odwołania strajku. Zaczęto dyskutować, nie jak spełnić żądania związkowców, ale jak spełnić jego żądania: by ratować spółkę przed bankructwem i oszczędzać zamiast mnożyć koszty. W efekcie doprowadził do podpisania nowych Porozumień Jastrzębskich, w których pracownicy wzięli na siebie część odpowiedzialności za los firmy.

To wydarzenie na miarę tego sprzed 35 lat. Aby ich do tego skłonić, zaoferował, że odejdzie za cenę przyjęcia jego warunków. Z owoców tego historycznego sukcesu, o który walczył przez lata, będzie więc korzystał jego następca. Miał szczęście, że dostał wsparcie państwowego właściciela. Niedawny strajk w Kompanii Węglowej okazał się dla premier Ewy Kopacz i jej ministrów wystarczającą nauczką, by chciała ją powtarzać. Polski rząd ma dziś spory kłopot, jak przekonać Komisję Europejską do zaakceptowania budżetowej pomocy dla KW, podobna operacja z JSW z pewnością by nie przeszła. Zagórowskiego nie wyrzucano więc ze stanowiska na pierwsze żądanie związkowców, choć wcześniej w takich sytuacjach nikt by się nad tym nawet nie zastanawiał (według naszych informacji bronił go szczególnie szef doradców politycznych premiera Jacek Rostowski). Związkowcy szukali haków na prezesa, ale niczego nie znaleźli. Zagórowski odchodzi więc z JSW z poczuciem gorzkiego sukcesu. Można mieć nadzieję, że minister skarbu państwa odpowiednio wykorzysta jego menedżerski talent i stłumi nerwy. Jeśli nie, z pewnością zrobi to prywatny biznes.

Najpierw ubrać, później nakarmić



Juliusz Ćwieluch

Zawieszenie broni pomiędzy Ukrainą a „separatystami donieckimi”, czyli de facto Rosją, nie kończy kwestii dobrodziejstwa Ukrainy. Raczej ją bardziej aktualizuje. Rosja, która w czasie mińskich negocjacji twardo sprzeciwiała się przywróceniu ukraińskiej kontroli na granicy, daje jasny sygnał, że strumień broni nadal będzie płynął do zbuntowanego regionu. Pytanie brzmi, ile czasu kupiła sobie Ukraina? I jak go wykorzysta?

Jeśli chodzi o dostawę broni, to 15 godzin mińskich negocjacji bardzo zmieniło sytuację. Ameryka z grózb w sprawie dostaw nowoczesnego uzbrojenia zrobiła bardzo skuteczne narzędzie nacisku. Rosjanie mają dobrą pamięć i wiedzą, dlaczego przegrali wojnę w Afganistanie. Bez amerykańskich dolarów i wyrzutni Stinger, radziecka okupacja potrwałaby znacznie dłużej. No i nie byłaby tak kosztowna. Dzisiejsza Rosja pozbawiona petrodolarów też może szybko stracić oddech. Dlatego zdecydowała się na chwilowe wygaszenie konfliktu. I wytrącenie Amerykanom z ręki argumentów za dobrodziejstwem Ukrainy. Tym

bardziej że samo dostarczenie nowoczesnego sprzętu nic nie zmieni. Ktoś musi jeszcze Ukraińców nauczyć go obsługiwać. A to oznacza wysłanie wraz ze sprzętem również instruktorów. Inaczej mielibyśmy powtórkę z Gruzji. Nowoczesne rakiety przeciwlotnicze Grom, które Polacy sprzedali Gruzinom, strąciły kilka rosyjskich samolotów w czasie wojny w 2008 r. Ale po analizie komputerów ocalałych z wojny wyrzutni okazało się, że ich skuteczność mogła być kilkakrotnie wyższa. Jednak amerykańscy czy polscy żołnierze na Ukrainie, nawet w charakterze instruktorów, byłiby dla Putina wręcz zaproszeniem do eskalowania konfliktu.

Bez tego kontekstu trudno byłoby zrozumieć postawę polskich władz, które najpierw ustami ministrów obrony i spraw zagranicznych deklarowały gotowość wysłania na Ukrainę uzbrojenia. A zaledwie tydzień później wicepremier i minister obrony Tomasz Siemoniak stwierdził, że Polska takiej broni nie wyśle. Polska szarża informacyjna miała pociągnąć za sobą inne kraje Unii, ale nie porwała. Inne państwa, jak chociażby Wielka Brytania, kwestię militarnej pomocy dla Ukrainy załatwiają po cichu. Sprzęt, który tam trafia, jest z demobilu. Na Ukrainę sprzedają go prywatne firmy. Takie załatwianie spra-

wy nie tylko naraża nas na mniejszy ostrzał propagandowy ze strony Rosjan. Ale jest po prostu skuteczniejszy.

To, że należy pomagać Ukrainie, w zasadzie nie budzi sporu. Wolna i demokratyczna Ukraina, oddzielająca Polskę od agresywnej i nieobliczalnej Rosji, to nasz żywotny interes. A kwestia pomocy finansowej jest dziś kluczowa. Choć osoby, które znają szczegóły ukraińskich próśb wojskowych, łapią się za głowę. Wygląda to tak, jakby Ukraińcy szukali sponsora dla swoich sił zbrojnych. Potrzebują paliwa, bielizny, butów, mundurów, środków higienicznych, hełmów, kamizelek kuloodpornych. Wszystkich podstawowych elementów wyposażenia.

Oskali problemu świat przekonał się przy okazji ostatniego poboru mobilizacyjnego na Ukrainie. Próba zmobilizowania 50 tys. żołnierzy okazała się wizerunkowym blamażem. Rekruci masowo uchylali się od służby, a nawet dezerterowali. Ale ci ludzie uciekali nie dlatego, że nie czuli się Ukraińcami. Nie chcieli iść do armii, która nie mogła ich ani ubrać, ani nakarmić, ani wyposażać w skuteczną broń. Telewizyjne migawki, w których rekruci stoją na siarzystym mrozie w trampkach, każą raczej podziwiać tych, którzy zdecydowali się iść do wojska. Jakiegokolwiek dostawy dla ukraińskiej armii trzeba zacząć właśnie od butów, ciepłych mundurów, termosów i konserw, bo to są teraz główne problemy tej armii. I pierwsze zadanie dla sojuszników Ukrainy, w tym Polski.

Ogórek jak Obama

Nie bardzo rozumiem, dlaczego możliwość zadania pani Magdalenie Ogórek jakiegoś pytania stała się tak powszechną i pierwszoplanową dziennikarską potrzebą. Czy dlatego, że chcieliby ją przygwoździć i docisnąć? Przecież najważniejsze nie jest to, co kandydatka SLD na prezydenta powie, w końcu ma już za sobą trzy występy publiczne. Najciekawsze w gruncie rzeczy jest to, jaki właściwie pomysł miał SLD, zgłaszając właśnie panią Ogórek? A w tej kwestii skazani jesteśmy na domniemanie. Dla jednych będzie to happening lewicowej młodzieży, dla innych akt rozpaczliwej wielkiej kiedyś partii, która teraz nie ma nikogo, kto mógłby z jakim takim powodzeniem ubiegać się o stanowisko prezydenta RP, dla jeszcze innych rzecz właściwie bez znaczenia. Partijne szereg, zwłaszcza zaś tak zwani baronowie (dziś już mocno wyleniali), interesują się wyłącznie wyborami parlamentarnymi, szczególnie zajęciem pierwszego miejsca na liście w okręgu, które daje jeszcze jakieś szanse na poselski mandat. I tu rozegra się właściwy bój. Węć tymczasem dyskutujemy np. o tym, dlaczego kandydatka uparcie preferuje krótkie rękawki i czy po kampanii chce zostać celebrytką i zatańczy na przykład w „Tańcu z gwiazdami” albo poprowadzi inny telewizyjny show. W końcu w tej strategii najważniejsze jest, aby o kandydatce mówiono, i tu pomysł sprawdza się znakomicie. Dziennikarskie tuzy dały się zbiorowo zaciągnąć w te maliny.

Jednak kilka zdań o konwencji pani Ogórek napisać wypada. Inauguracja oficjalna zaskoczeń nie przyniosła, choć była najbardziej entuzjastyczną ze wszystkich dotychczasowych konwencji. Nawet Andrzej Duda nie zebrał tylu oklasków. Pani Ogórek bito brawo po każdym zdaniu, a bywało, że nawet w połowie zdania. Czasem ze wstawianiem i muzycznymi wstawkami. Kandydatka chce reprezentować stażystów, bo jest dumna, że sama była stażystką, oraz innych młodych ludzi. Nie uważa, że prezydentura ma być jakimś zwieńczeniem politycznej kariery, bo to nie luksusowa emerytura. Nie lubi dyżurnych autorytetów (nie doprecyzowała, o kogo chodzi), nie lubi też mediów (ciekawe, jak zniosła torturę pracy w mediach, bo przecież prosto z nich wchodzi w tę kampanię), jest spoza jakiegokolwiek układu, co jednak broniło się słabo. Widok zachwyconego Włodzimierza Czarzastego, który siedząc w pierwszym rzędzie, aż promieniał, bijąc entuzjastycznie brawo, trochę temu zaprzecza. Leszek Miller bardziej się chował, ale jednak uścisków z osobą spoza wszelkich układów całkowicie uniknąć nie mógł. W końcu na tę kampanię wyklada partyjne pieniądze. Kandydatka jest odważna, jak



trzeba, to nawet do Putina w słusznej sprawie zatelefonuje, i uważa, że Polskę trzeba zbudować od nowa. Ten postulat jest dość niepokojący: co to znaczy – „od nowa”? Od przyjęcia chrztu czy od trochę później? W każdym razie ona może to zrobić. Więcej, my, czyli oni, czyli młodzi mogą to zrobić. Yes, we can. I już Magdalena Ogórek jest jak Barack Obama (i Andrzej Duda).

Nie czepiam się konwencji, nie czepiam się kandydatów. Po pierwszych inauguracjach widać, jak trudno jest wymyślić jakieś nowe hasło, bo przecież wszystko już było: wybierzmy przyszłość, Polska jest najważniejsza, wszystko dla Polski, skończyć wojnę polsko-polską czy wreszcie – niezbędna jest zmiana. W tym sezonie największe wzięcie ma zmiana i tu kandydatka Ogórek jest najbardziej radykalna. Co jeszcze nosi się w tym sezonie? Modne jest odcinanie się od żyrandola, zapowiadanie prezydentury aktywnej w miejscze gnuśnienia w Pałacu (a może by tak zajrzeć na stronę internetową prezydenta RP?), nawiązanie dialogu ze społeczeństwem oraz zdecydowane rządzenie.

W tym wyborczym sezonie nosi się także obywatelskość. Obywatelskość najlepiej wyraża się obecnością i boku kandydata samorządowców, którzy kilka miesięcy temu przeszli wyborczą weryfikację. Tak było na konwencji Andrzeja Dudy, choć jego partia akurat wybory samorządowe uznała za sfałszowane, a sam kandydat żądał usunięcia Państwowej Komisji Wyborczej, a na dodatek PiS marnie wypadło w wyborach miejskich. Tak było podczas konwencji Magdaleny Ogórek. Ale wszystkich pokonał prezydent Bronisław Komorowski, który uzyskał poparcie 29 prezydentów największych miast. W specjalnej deklaracji uznali oni, że to ten kandydat gwarantuje godne sprawowanie urzędu. To nie jest gest bez znaczenia. To jest rzeczywiste budowanie przez Bronisława Komorowskiego szerszego zaplecza, ale przede wszystkim uznanie dla jego polityki, w której kwestie samorządowe grały istotną rolę, a obrona legalności wyborów była bardzo istotnym elementem. W gronie popierających znaleźli się Piotr Krzystek ze Szczecina z Platformą mocno skonfliktowany, Tadeusz Ferenc z Rzeszowa, od lat stanowiący wizytówkę SLD na Podkarpaciu, i Jacek Majchrowski z Krakowa, którego Sojusz, a już zwłaszcza Aleksander Kwaśniewski, nie raz chciał namówić do startu w wyborach prezydenckich jako kandydata lewicowego. Widząc, jak te dwie ostatnie osoby podpisują deklarację poparcia dla urzędującego prezydenta, Leszek Miller nie mógł czuć się dobrze. Kapitał gromadzony kiedyś przez Sojusz niknie w oczach, rozmywa się.

Pierwsze konwencje pokazały także, kto będzie miał w kampanii łatwiej, a kto trudniej. Wydaje się, że najtrudniej będzie miał kandydat PSL Adam Jarubas, którego inauguracji w Nowym Korczynie właściwie nie zauważono i nie skomentowano, choć było to wydarzenie ciekawe, a ludowcy są trzecią siłą w rankingach partyjnego poparcia. Niezłe było wystąpienie kandydata, z naturalnym odwołaniem się do tradycji ruchu ludowego. Było rodzinnie i to w dużym gronie, bowiem ze trzy tysiące ludzi, głównie młodych, zebrało się w niewielkiej miejscowości. Bez zadęcia, bez frenetycznych braw, nawet bez prezesa Piechocińskiego. Zupełnie inna konwencja. Nie wiadomo jednak, czym Jarubas skusi media. Paweł Kukiz przyciąga publiczność w sposób naturalny, bo oburzony celebryta jest sam w sobie zjawiskiem ciekawym, a Kukiz ma jeszcze wiele autentycznej pasji. Dudzie nawet zawody narciarskie zorganizują, by wykazać, że w czymś nad Komorowskim góruje. Na Palikota można liczyć, że zawsze coś skandalizującego powie, a Janusz Korwin-Mikke powie coś jeszcze bardziej skandalizującego. Anna Grodzka zawsze zaciekawia. A taki Jarubas ma pod górkę. Aż chciałoby się westchnąć – tyle się wokół zmienia, a los chłopca pozostaje niezmienny. Ludowcy jednak od lat stawiają na normalność, a ta słabo się sprzedaje. Bo jest jeszcze jedna ważna cecha tej kampanii: oceniają ją głównie i najczęściej specjaliści od wizerunków i politycznego marketingu. To na nich jest największe zapotrzebowanie. Najwyraźniej tylko tyle pozostało z polityki.

Jan Koza



© JAN KOZA



© STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Kto stoi za rolnikami?

Na lidera rolniczych protestów wyrósł ostatnio **Sławomir Izdebski**. Po kilkunastu minutach zerwał rozmowy w Ministerstwie Rolnictwa i razem z Wojciechem Mojzesowiczem opuścili salę. „Na spotkaniu z ministrem zostali przedstawiciele innych organizacji rolniczych? To zdrajcy, jeżeli kogokolwiek z nich zobaczycie, to chłosta, chłosta i jeszcze raz chłosta” – krzyczał przed ministerstwem. Kto właściwie uczestniczy w tych rozmowach, według jakiego klucza na negocjacje zapraszano i wreszcie – kto stoi za rolnikami, którzy od kilku tygodni blokują drogi w całym kraju, a od czwartku zamierzają przed Kancelarią Premiera zbudować zielone miasteczko. Do stołu z ministrem Sawickim usiedli przedstawiciele 19 organizacji. Reprezentują często rywalizujące ze sobą związki zawodowe rolników, producentów, komitety protestacyjne ogólnopolskie i krajowe, a wśród nich m.in.: NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność; Związek Zawodowy Rolnictwa Samoobrona; kółka rolnicze, którym przewodzi Władysław Serafin; Ogólnopolski Komitet Protestacyjny Rolników, Polska Izba Mleka, Krajowy Związek Spółdzielni Mleczarskich i jeszcze z tej samej mleczarskiej branży Polska Federacja Hodowców Bydła i Producentów Mleka oraz związek Izdebskiego, o którym jest najgłośniejszy – OPZZ Rolników i Organizacji Rolniczych.

Wśród tych, którzy zasiadli do rozmowy z ministrem, był np. Piotr Trznadel ze Związku Zawodowego Rolników Ojczyzna obrona konieczna. Związek ten, choć w nazwie ma „zawodowy”, formalnie w rozumieniu prawa związkiem zawodowym nie jest, bo nie jest zarejestrowany. Jak liczna jest ta organizacja? – Ma kilka tysięcy członków, ale nie mamy żadnych formalnych deklaracji czy składek – mówi Trznadel. Pytany

o statut obiecuje, że może go udostępnić, ale pod warunkiem, że POLITYKA wydrukuje 27 postulatów „rolników Polskich Słowiańskich, tych, co żywią i bronią”, a wśród nich znajdują się takie jak: „weryfikacja sędziów”; „Zakaz tortur, represji przeciwko działaczom związków zawodowych rolników i ich rodzin”; „Ujawnić wszystkich, co przywłaszczyli nazwiska polskie, po polskich rodzinach, które zostały wymordowane przez Hitlera, Stalina, NKWD i powrót do swoich nazwisk”; „terroryzm i nacjonalizm starych państw UE względem polskiej ludności i gospodarki”. Trznadel na swojej stronie internetowej twierdzi, że wielokrotnie próbowano pozbać go życia, i na wszelki wypadek oświadcza, że „nie planuje popełnić samobójstwa” i że jest „prawdziwym Polakiem”. Nie wyszedł z Izdebskim z ministerstwa, ale zapewnia, że współpracują i zaraz po zakończonym spotkaniu w resorcie podali sobie ręce.

Dorganizacji pojawili się 11 lutego w ministerstwie? – Przyjeśliśmy wszystkich, którzy się do nas zgłosili, nie było żadnego klucza, według którego rozsyłaliśmy zaproszenia – mówi Witold Katner, rzecznik ministra rolnictwa. Inny pracownik resortu potwierdza: – Wpuściliśmy każdego, bo nie chcieliśmy dopuścić, żeby nam zapłonęły opony przed resortem.

Izdebski, mówiąc o sobie w trzeciej osobie, chce utrwalić swoje nazwisko i znów chce zdobyć parlamentarny mandat. Protesty to dla niego najlepsza kampania. Chętnie w swoich szeregach widziałby go Janusz Korwin-Mikke, który wystąpił kilka tygodni temu na kongresie OPZZRiOR. Czy ten związek ma coś wspólnego z OPZZ Jana Guza? – Nic podobnego. Prawnicy przygotowali nam ekspertyzę, z której wynika, że każdy po dodaniu jakiegoś słowa do OPZZ

może zarejestrować organizację z naszym skrótem – mówi Guz. Swoją organizację Izdebski założył w 2008 r., ale dopiero teraz na dobre zamierza go rozkręcić. W KRS zadeklarował, że będzie zajmować się m.in.: edukacją przedшкоłą do szkół wyższych, nauką języków obcych i działalnością wspomagającą edukację. – Ukradł połowę nazwy mojej organizacji, a połowę Jankowi Guzowi z OPZZ – denerwuje się Władysław Serafin, szef kółek i organizacji rolniczych. – Wprowadza ludzi w błąd, bo tam nie ma żadnych innych poza jego organizacją. W KRS zarejestrowanych jest 22 116 kółek, ale nikt nie umiał nam powiedzieć, ile dokładnie mają członków. Mówi się tylko o danych szacunkowych, od 10 do 250 osób w jednym kółku.

Kto należy do OPZZ Izdebskiego? – Nie mamy żadnych deklaracji członkowskich, trudno to dziś więc oszacować, ale myślę, że zebraliby się 70 organizacji, w tym Sierpień '80, a w Radzie Krajowej jest 60 osób – zapewnia Izdebski. Na ostatnim zjeździe został wybrany na przewodniczącego, nie miał żadnych konkurentów. Z czego się utrzymują? – Nie mamy składek, ale trzeba to zmienić. Teraz organizujemy biuro z prawdziwego zdarzenia w Warszawie i rzuciliśmy się, by wystarczyło na rok jego funkcjonowania. Izdebski mówi, że jest jedynym liderem związków zawodowych, który nie bierze nawet złotówki z budżetu państwa. Wiele związków rolniczych dostaje z ministerstwa, czyli od podatników, pieniądze na przykład na kolonie dla wiejskich dzieci z KRUS. Cztery spośród organizacji, które negocjowały w ministerstwie, należy do Copa-Copeca, czyli unijnej organizacji rolniczej. Udział w niej, jak i inną działalność na międzynarodowych forach rolniczych, finansuje ministerstwo, na co idzie nawet 4 mln zł rocznie. W resortowych negocjacjach bierze też udział Wiktor Szumielewicz, szef Krajowej Rady Izb Rolniczych oraz członek Rady Naczelnej PSL, najwyższej władzy partyjnej. – Wiadomo, że on nie będzie protestował przeciwko własnemu ministrowi, więc próbuje nas zdyktować. Tylko Izdebskiemu chodzi o dobro rolników i to on stoi za tymi protestami – mówi Izdebski.

W ministerstwie jedno z miejsc przy stole zajął też Jerzy Chróścikowski, senator PiS z Zamojszczyzny, szef NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych. Z niepokojem patrzy na to, że rolnicze protesty są utożsamiane z Izdebskim, co nie podoba się prezesowi Kaczyńskiemu. PiS nie może sobie pozwolić na to, by niezależny od partii działacz wyrósł na chłopskiego lidera. Jeśli blokady okażą się skuteczne i rząd ustąpi, to PiS zapewne zaoferuje mu miejsce na listach wyborczych, zresztą Izdebski jako były senator Samoobrony już raz startował z list PiS w 2007 r. Wygląda na to, że protesty rolników, blokady dróg i demonstracje w Warszawie mają więcej wspólnego z polityczną rozgrywką niż z faktycznymi problemami tego środowiska. (Dag.)



© REUTERS/FORUM

Chińska armia słabsza

Armia chińska nie jest w stanie wygrywać wojen, wyrokuje RAND Corporation, think tank, który na zlecenie komisji amerykańskiego Kongresu ds. spraw stosunków USA z Chinami przyjrzał się kondycji wojska Państwa Środka. Ta nie jest tak dobra, jak można by wnioskować z intensywniej modernizacji ostatnich 20 lat. Choć chiński budżet wojskowy jest drugi co do wielkości na świecie, tylko trzy razy mniejszy od amerykańskiego, niespełna dwa razy większy od rosyjskiego (i około 18 razy większy od polskiego), to nie brak pieniędzy krępuje możliwości obronne Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Według RAND głównymi wrogami ALW są przestarzały system dowodzenia i sprzedajność, szerząca się mimo wielkiej kampanii antykorupcyjnej prowadzonej przez przewodniczącego Xi Jinpinga. Podobne problemy trapią wiele armii, tyle że w Chinach oficerowie, zwłaszcza najwyżsi, nie podlegają kontroli cywili. Wojskowi mogą zarówno przekraczać przepisy ruchu drogowego, bo policja nie zatrzymuje samochodów z tablicami rejestracyjnymi armii, jak i bezkarnie przechwytywać procent od kontraktów zbrojeniowych. Żołnierze są za krótko szkoleni i nie potrafią obsługiwać nowego sprzętu. Ich dowódcy nie potrafiliby zgrać dużych kampanii prowadzonych jednocześnie przez wszystkie rodzaje sił zbrojnych i nadal żyją czasami, kiedy dominowała armia lądowa. I wciąż słuchają wyłącznie rozkazów przewodniczącego partyjnej komisji wojskowej (jest nim Xi, stąd wynika jego silna pozycja przywódcy), bo w Chinach armia jest nie tyle wojskiem państwowym, co przede wszystkim dwumilionową bojówką partyjną.

Chorwacja oddłuża obywateli

Chorwacki rząd odpuszcza część zobowiązań swoim najuboższym obywatelom: rzecz dotyczy blisko 60 tys. zadłużonych, którzy nie mają żadnych oszczędności ani innego lokum poza tym, w którym mieszkają, pobierają różnego rodzaju zasiłki socjalne, a ich miesięczny dochód nie przekracza 2,5 tys. kun (czyli około 1300 zł), jeśli żyją bez rodziny, albo 1250 kun na każdego domownika. Jeśli ich zaległości płatnicze w przedsiębiorstwach publicznych, bankach, u operatorów telefonii i w firmach energetycznych nie są w sumie większe niż ekwiwalent blisko 19 tys. zł, to mogą wystąpić z wnioskiem o anulowanie długów. Program nazywa się obiecująco: „Nowy początek”. W kraju, który zmaga się z blisko 20-proc. bezrobociem i od 6 lat walczy z recesją, to istotny krok.

Na taki prezent nie mogą liczyć ci, których długi przekraczają 19 tys. zł, a od lat nie wydostają się ze spirali zadłużenia. Chorwackie prawo pozwala wierzycielom przejmować dochody, które spływają na prywatne i firmowe konta dłużników, dopóki ci nie spłacą całkowicie swoich zobowiązań. W rezultacie osób, które mają w ten sposób zablokowane konta, jest już 322 tys. Poszkodowani założyli stowarzyszenie i chcą walczyć o zmianę prawa bankowego. Nawet jeśli im się to uda, prawo i tak nie zadziała wstecz.



© FAHAD SHAHEED/REUTERS/FORUM

Królestwo starych panien

Książę Karol podczas oficjalnej wizyty w Arabii Saudyjskiej u nowego króla Salmana zatroszczył się o los blogera Raifa Badawiego skazanego na tysiąc batów i 10 lat więzienia. W tym samym czasie z aresztu po dwóch miesiącach wyszły dwie Saudyjki oskarżone w głośnej sprawie o prowadzenie samochodu, co tu kobietom jest zabronione. To pokazuje, jakie zadania modernizacyjne stoją przed 79-letnim monarchą. Cicha rewolucja na kobiecym froncie już się dokonuje, a jej nieoczekiwanym objawem jest gwałtownie rosnąca grupa starych panien. Ogłoszono właśnie, że wśród 3,3 mln Saudyjek powyżej 30 roku życia, ponad 1,5 mln stanowią singielki. Wiele wśród nich uzyskało bardzo dobre wykształcenie (na uniwersytetach jest dużo więcej studentek niż studentów), 400 tys. kobiet pracuje (gwałtowny wzrost w ciągu ostatnich 5 lat), większość w edukacji. Ich aspiracje rosną, a tradycyjne zasady aranżowanych małżeństw coraz bardziej uwierają. Jeśli więc tylko mogą, wybierają samotność. Oazą wolności okazuje się internet, gdzie absolutnej separacji płci nie da się przeprowadzić. Tak można, co prawda, kultywować tylko męsko-damskie związki słowne, ale i to wielki wyłom w murze.

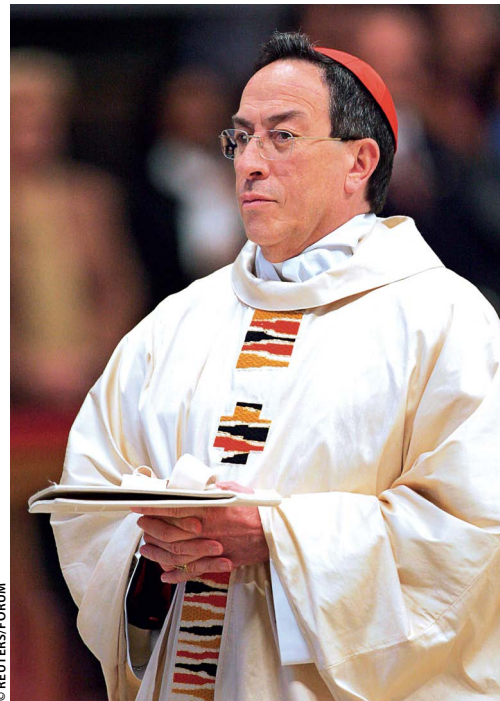
Czerwone birety Franciszka

Podczas konsystorza papież Franciszek wręczył czerwone birety 20 mianowanym przez siebie nowym kardynałom. Kolegium kardynalskie doradza papieżowi w ważnych sprawach Kościoła, ale jego najważniejszą rolą jest wybór papieża. Dlatego obserwatorzy śledzą nowe nominacje i szacują układ sił w Kolegium, by przewidywać, kto może nim zostać po śmierci lub dymisji obecnego. Wygląda na to, że polityka kardynalska Franciszka zmierza do wzmocnienia szans kandydata spoza Europy i Zachodu. Tę wysoką kościelną godność otrzymał tylko jeden przedstawiciel centralnej biurokracji kościelnej (Dominique Mamberti).

Kapelusza nie dostał żaden Amerykanin. Europejczyków jest pięciu, lecz tylko dwaj Włosi (i nie ci, którzy może się spodziewali), za to żadnego (już po raz drugi

z rządu) Polaka. Jedyną osobą z Polski, powołaną ostatnio do ważnego gremium watykańskiego, Komisji Ochrony Nieletnich, jest była ambasador przy Stolicy Apostolskiej Hanna Suchocka; do tejże Komisji, powołanej przez Franciszka do walki z pedofilią w Kościele, nie wszedł żaden polski biskup.

Obecnie 125 kardynałów ma prawo wyboru papieża. Kardynalska Europa ma dziś przewagę minimalną (52 proc. purpuratów elektorów) nad innymi kontynentami. Pojawiają się spekulacje, że Franciszek prędzej czy później ustąpi z urzędu, a jego następcą może zostać kard. **Oscar Maradiaga** z Hondurasu, dziś koordynator grupy dziewięciu kardynałów przygotowujących odchudzenie i udrożnienie Kurii Rzymskiej i broniący Franciszka przed zarzutami, że jest „komunistą”.



© REUTERS/FORUM

Ukryjemy twoje pieniądze

Bankowość prywatna, prężnie rozwijająca się nisza ekskluzywnych usług finansowych, ma pecha. Bankowcy chcieliby, aby kojarzyła się z miękkimi kanapami, darmową kawą i matczyną opieką nad pieniędzmi nadzianego klienta. Ostatnio jednak coraz częściej przypomina miły interfejs dla działalności przestępczej. W ubiegłym tygodniu kilkanaście redakcji, m.in. „Le Monde”, „Guardian” oraz BBC, opublikowało wspólny raport ze śledztwa w sprawie niestandardowej działalności szwajcarskiego oddziału prywatnej bankowości HSBC, czyli największego europejskiego banku. Na podstawie dokumentów, ujawnionych przez informatyka HSBC, bank miał pomóc ponad 100 tys. klientów w unikaniu opodatkowania. Siedli na kanapie, napili się kawy, a w tym czasie ich niezadeklarowane dochody przepadały w czeluściach rajów podatkowych. Śledztwa przeciwko HSBC toczą się już w USA, Francji, Belgii i Argentynie.

Największe zamieszanie raport wywołał w Wielkiej Brytanii, gdzie Partia Pracy chce uczynić z niego jeden z tematów kampanii przed majowymi wyborami. Laburzyści oskarżyli już konserwatystów, że mimo wiedzy o nielegalnych praktykach HSBC w 2011 r. byłego szefa tego banku zrobili ministrem handlu. Bank miał też finansować kampanie konserwatystów.



© DAMIR SAGOLJ/REUTERS/FORUM

Trzecia płeć w konstytucji

Nawet wojskowe dyktatury miewają liberalną twarz. Specjalny zespół prawniczy opracowujący nową konstytucję Tajlandii, gdzie w zeszłym roku armia przeprowadziła zamach stanu, planuje oficjalnie włączyć do niej zapisy o trzeciej płci. Azjatycki kraj słynie ze swoich *kathoe*, czyli transseksualistów. Prawdopodobnie żyje ich tu nieco ponad 100 tys., w Bangkoku wpada się na nich na każdym kroku. W 1996 r. złożona tylko z nich drużyna wygrała mistrzostwo kraju w siatkówce (mężczyzn), w poprzedniej dekadzie operację zmiany płci w trakcie kariery przeszedł jeden z najbardziej znanych miejscowych bokserów, a ostatnio olbrzymią popularność zdobył *kathoe* występujący w lokalnym „Mam Talent”. Ale to buddyjskie społeczeństwo wciąż jest mocno konserwatywne, osoby zmieniające stan zastany przy urodzeniu są wciąż poddawane silnemu ostracyzmowi, a rodziny z reguły zrywają z nimi wszelkie więzi. Żerują na tym seksturyści, wykorzystujący młodych Tajów, którzy odrzuceni przez bliskich szukają pieniędzy na ulicy.



Piotr Duda

W tym sezonie politycznym
kampania wyborcza
miesza się z kampanią
protestów związkowych.
Politycy PO mówią,
że to „PiS gra na Dudach”.

Dudów dwóch

JANINA PARADOWSKA

W ostatnim wywiadzie, jakiego premier Donald Tusk udzielił POLITYCE tuż przed wyjazdem do Brukseli, zapytaliśmy, co sądzi o kandydacie PiS na prezydenta. Tusk nie miał zdania. Andrzej Duda niczym mu w pamięć nie zapadł, przyznał nawet, że gdy usłyszał, iż Jarosław Kaczyński wystawia Dudę, pomyślał o Piotrze Dudzie, liderze Solidarności, bo przecież na ten temat spekulowano. Nie jeden Tusk wtedy mylił osoby i o innym Dudzie myślał. Zapewne i dziś jest takich wielu, i wielu będzie obu panów mylić aż do wyborów.

Czy ze zbieżności nazwisk dwóch zupełnie różnych osób, ale politycznie w tym roku kluczowych, coś dla polskiej polityki wyniknie? Czy prezydencki kandydat PiS zyska, bo jakiś procent pomylił się, kreśląc krzyżyk na karcie przy znanym sobie nazwisku, czy straci, bo radykałowie jako potencjalni prezydenci nie są jednak mile widziani? Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości, że w kampanii ich losy się splecą. Cel mają przecież wspólny jak nazwisko: odsunięcie od władzy rządu Platformy i prezydenta Bronisława Komorowskiego. Właściwie jednego tylko nie wiadomo: czy Jarosław Kaczyński, wystawiając do prezydentury Andrzeja Dudę, zażartował sobie z Piotra Dudy?

W PiS na serio rozważano kandydaturę Piotra Dudy na prezydenta, a jego nazwisko pojawiało się w tych spekulacjach dawno i uporczywie. Od pierwszych publicznych występów nowego przewodniczącego Solidarności – pełnych energii, emocji, demagogii, ale i argumentów – 50-latek

© RAFAŁ KLIMKIEWICZ/EDYTOR.NET

Piotr Duda został okrzyknięty przyszłością prawicy. Mówiono nawet otwarcie, że mógłby zastąpić Jarosława Kaczyńskiego (i w roli kandydata na prezydenta, i w przyszłości szefa partii), bo na tle opatrzonych, znanych aż do bólu i do bólu przewidywalnych polityków wydawał się nową jakością. Konserwatywnych poglądów nie ukrywał, język miał cięty, polemiczny i jeszcze nie był tak jak teraz radykalny, kiedy to coraz chętniej politykom dawałby po pysku.

Początkowo zaliczano go nawet do sirot po PO-PiS i podejrzewano o sprzyjanie Platformie. Jakąś tam zaliczkę na ewentualne polityczne awanse Duda więc zgromadził, choć do wizerunku prezydenta, który miałby zjednywać mieszczańskie centrum, ten Ślązak w pierwszym pokoleniu, dawny tokarz z Gliwic po szkole zawodowej, komandos i saper bez solidarnościowego rodowodu, słabo przystawał.

Ale na tle zupełnej posuchy kadrowej i coraz bardziej rozpaczliwego braku w miarę rozpoznawalnego i akceptowanego przez szefa partii kandydata pogłoska, że mógłby nim być Piotr Duda, trafiała na podatny grunt. Być może wyszła nie z PiS, ale z samej Solidarności, bo ambicje polityczne w związku zawsze były żywe. Był prezydentem Lech Wałęsa, dlaczego miałby nim nie zostać Duda, którego oceniano pozytywnie, a po sejmowym wystąpieniu w debacie nad wnioskiem o referendum w sprawie wieku emerytalnego prawie z zachwytem. Było to wystąpienie dobre i to premier Tusk był wyraźnie zdenerwowany, kiedy mówił o argumentach godnych „pętaka”. Niewykluczone, że mimo przeprosin, oficjalnie przyjętych, ten „pętak” do dziś rzutuje na nazbyt emocjonalny stosunek Dudy do rządów Platformy.

Sam zainteresowany plotek, że mógłby kandydować, nie dementował. Być może te pogłoski były mu nawet na rękę, umacniały jego pozycję i zaspokajały własne ambicje, bo że jest ambitny, nie ulega wątpliwości. Wcześniej przecież wielokrotnie nagabywany o polityczną przyszłość używał znanej formułki, że wprawdzie polityka go brzydzi, ale nigdy nie mówi się nigdy. Dopiero gdy 11 listopada Jarosław Kaczyński na spotkaniu w Krakowie nieoczekiwanie, zanim jeszcze wypowiedziały się jakiegokolwiek partyjne gremia, wskazał na prezydenckiego kandydata Andrzeja Dudę (zupełne przeciwieństwo Piotra, bo z krakowskiego profesorskiego domu, z początkującą karierą akademicką i równie niewielką urzędniczą, zdobywającego dopiero pierwsze polityczne szlify jako szef kampanii do Parlamentu Europejskiego), zaskoczony Piotr Duda zaczął się szybko dystansować. – Nigdy nie będę politykiem – powtarzał w kolejnych wywiadach – jestem i pozostanę związkowcem. ►



Andrzej Duda

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER